

ZATRZYMANIE AKCJI SERCA GWARANTOWANE –
NIKT NIE DOZUJE NAPIĘCIA TAK JAK LISA GARDNER!

Harlan Coben

A central image of a window with a view of a hallway and a staircase. The window is divided into several panes. The hallway is brightly lit, and a staircase is visible in the distance. The text is overlaid on this image.

LISA
GARDNER
POWIEM
TYLKO RAZ

Ile tajemnic może mieć jedna rodzina?

ALBATROS

Tytuł oryginału:
NEVER TELL

Copyright © Lisa Gardner, Inc. 2019
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2020

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcia na okładce: Boris SV/Getty Images (*zasłony*), © Victor Korchenko / Arcangel
(*rama okienna*), © plainpicture/Narratives/Jan Baldwin (*wnętrze pokoju*)

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Kaitlin Kall

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

EVIE

WJEŹDŹAM DO GARAŻU I CZUJĘ, jak drżą mi dłonie na kierownicy. Próbuję sobie tłumaczyć, że nie mam się czym denerwować. Że nie zrobiłam nic złego. Chwilę siedzę bez ruchu ze wzrokiem utkwionym wprost przed siebie, jakby na szybie miało się ukazać jakieś magiczne zaklęcie, które wskaże mi wyjście z koszmaru, jakim stało się moje życie.

Nic się nie ukazuje.

Przy zachowaniu ostrożności jestem w stanie zsunąć się z siedzenia kierowcy. Jestem już grubsza, ale nie aż tak bardzo. Chwilę walczę z puchatym płaszczem i paskiem wielkiej torby i gramolę się zza kierownicy. Torbę dostałam w zeszłym roku na Gwiazdkę od Conrada. Jest od Coacha, z prawdziwej skóry. Wybulił za nią co najmniej dwieście dolców. Sprawił mi nią taką radość, że zarzuciłam mu ręce na szyję i zaczęłam pisać. Roześmiał się i wyjaśnił, że zauważył, jak się w nią wpatrywałam na wystawie sklepowej, i uznał, że po prostu musi mi ją kupić.

Przytuliłam się do niego wtedy, a on mnie objął. Śmiałam się radośnie i niecierpliwie przeglądałam niezliczone schowki we wnętrzu wielkiej popielatej torby; Conrad śmiał się razem ze mną.

To było na Boże Narodzenie. Prawie rok temu.

Czy od tamtej pory się obejmowaliśmy? Albo się śmialiśmy?

Mój sterczący brzuch świadczy o tym, że coś musiało się między nami dziać, ale gdyby nie łańcuchy kolorowych lampek i krzykliwe świąteczne dekoracje na domach sąsiadów, to nie wiem, czy w ogóle czułabym świąteczny nastrój. Prawdę mówiąc, nasz dom jest jednym z ostatnich na osiedlu, który nie jest świątecznie przyozdobiony. Wisi tylko mały wieniec z jedliny na drzwiach i nic poza tym. Weekend po weekendzie obiecywaliśmy sobie kupno choinki. I weekend po weekendzie mijał bez niej.

Z wysiłkiem wieszam torbę na ramieniu i odwracam się twarzą do drzwi prowadzących z garażu do domu.

Chodzący trup, myślę. I coś we mnie pęka. Nie wybucham płaczem, ale sama nie bardzo wiem dlaczego.

Drzwi są otwarte. Lekko uchylone. Jakbym wychodząc, niedokładnie je za sobą zamknęła. Wypuszczasz z domu całe ciepło, skarciłby mnie mój tata i ta myśl powoduje nowy spazm bólu.

Wchodzę do środka i starannie zamykam za sobą drzwi. No już. Jestem w domu. Stoję w przedpokoju. Minął kolejny dzień. Przede mną kolejna noc.

Odkładam torbę. Zdejmuję płaszcz. Stawiam teczkę na ławce. Wieszam żakiet. Buty zostawiam na macie. Wygrzebuję z torby komórkę, kładę na stoliku i podłączam, żeby się ładowała. A potem spinam się w sobie.

Wdech. Wydech.

Nasłuchuję jego odgłosów.

W kuchni? Mógłby siedzieć przy kuchennym stole i czekać z wystygłą kolacją. Albo ostentacyjnie przełykać ostatni kęs. Albo mógłby przenieść się do salonu i rozsiąść w swoim fotelu z nogami na dostawce, ze szklanką piwa w dłoni i ze wzrokiem utkwionym w transmisję meczu na kanale ESPN. Niedziela znaczy futbol. Do boju, Patriots! Mieszkam w

Bostonie na tyle długo, by to wiedzieć. Ale we wtorek? Sport nigdy mnie nie pociągał. On oglądał mecze, ja czytałam. W czasach, gdy byliśmy tak bardzo nierozłączni, to, że mamy różne zainteresowania, wydawało się czymś naturalnym.

Z kuchni nie dochodzi szcęk sztućców, z salonu nie dobiega odgłos włączonego telewizora.

Drzwi były otwarte – to pamiętam. Rozpłaszczam lewą dłoń na wciąż niewielkiej, ale już zauważalnej wypukłości brzucha.

Z przedpokoju przechodzę do kuchni. Pod oknem stoi stół na cienkich nóżkach, na którym nie ma śladu kolacji. A potem w zlewozmywaku dostrzegam umyty talerz.

Wdech. Wydech.

Powinnam coś wymyślić. Przygotować jakąś wymówkę. Coś zmyślić. Cokolwiek. Ale w narastającej ciszy w głowie mi tylko wiruje, myśli przez nią przelatują.

Chodzący trup... Chodzący trup kobiety?

Zbiera mi się na wymioty. To może być przez ciążę. Wszystko można zwalić na ciążę. Źle się czuję, jestem zmęczona, jestem głupia, straciłam poczucie czasu. Niemowłęcy mózdzek, ciążowe hormony. Przez całe dziewięć miesięcy nic nie musi być moją winą. A jednak...

Dlaczego wróciłam dziś do domu? Pomijając oczywiście to, że gdzie indziej miałabym pójść? Od chwili poznania Conrada dziesięć lat temu... Dostrzegł mnie. Spojrzał na mnie. Wybaczył mi.

A ja go kochałam.

Kochałam go przez całe dziesięć lat.

Wychodzę z kuchni. Jest mała i jak cała reszta domu z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku wymaga zasadniczej modernizacji. Kupiliśmy go na fali nadziei i wielkich aspiracji. To prawda, że stoi na działce wielkości znaczka pocztowego, a każde kolejne pomieszczenie jest mniejsze od poprzedniego,

ale na taki było nas stać. Należał do nas. Jesteśmy młodzi i sprawni, więc go odpowiednio odpicujemy i sprzedamy za furę kasy.

Przechodzę wąskim przedpokojem z odłazającymi płatami tapety i staram się tego nie zauważać.

Salon. Tak naprawdę dzienny pokój. Z ukochanym rozkładanym fotelem Conrada, skromną kanapą i oczywiście ogromnym plazmowym telewizorem. Fotel jest pusty, telewizor wyłączony. W pokoju nie ma nikogo.

Drzwi były otwarte, znów sobie przypominam.

W garażu mieści się tylko jeden samochód, ale w Bostonie nawet to jest luksusem. Conrad parkuje swojego jeeпа na ulicy. O czym się właśnie teraz upewniam. Bo zauważyłam go, wjeżdżając na podjazd. Tak, stoi tam. Czarny jeep. Zaparkowany przy krawężniku tuż przed domem. Idealne miejsce, na którym z radością musiał go stawiać. Nawet dla posiadaczy pozwoleń na parkowanie dla mieszkańców jest to gratka, bo popyt znacznie przewyższa podaż. Stąd uprzejme pozostawienie miejsca w garażu dla mnie.

Nie ma sprawy, kochanie. Nie chcę, żebyś chodziła wieczorem sama po ulicy. Chcę mieć pewność, że nic ci nie grozi.

Chodzący trup. Chodzący trup.

Tylko nie wymiotuj.

A potem...

Potem...

– Otwarte drzwi – szepczę. I w końcu dociera do mnie to, co powinnam była od razu poczuć.

WOŃ. NASŁUCHIWAŁAM ODGŁOSÓW MĘŻA. Brzęku sztućców w kuchni. Skrzypienia jego fotela w salonie. Ale nie słychać było żadnych dźwięków. Panuje cisza.

Dom stoi cichy i spokojny.

Jak wymarły.

I tylko ta woń.

Schody prowadzące na górę są – jak wszystko w tym domu – wąskie i ciasne. I skrzypią. Trzy miesiące temu Conrad wzmocnił poręcz. Zaraz po tym, jak mu powiedziałam. Kiedy oboje staliśmy w sypialni i wpatrywaliśmy się w pasek testu. Ręce tak mi się trzęsły, że musiał wyjąć mi go z dłoni.

Pamiętam, że wtedy też miałam mdłości. Walczyłam ze sobą, by nie zwymiotować, choć to właśnie niemal codzienne poranne mdłości skłoniły mnie do zrobienia testu ciążowego. Małżeństwo to mozaika tysięcy momentów, setek wspomnień. Ten dzień, gdy patrzyłam na jego dłonie przy moich. Jego mocne, pokryte odciskami palce. Pewnym ruchem wyjął pasek ciążowy z mojej dłoni i uniósł do oczu.

Ogarnęło mnie to surrealistyczne uczucie, jakie niekiedy mnie nawiedza. Gdy nie jestem obecna w swoim życiu, tylko mimo upływu lat znów stoję w kuchni rodziców, trzymam w rękach strzelbę i czuję zapach krwi.

A Conrad, jak to Conrad, spojrział prosto na mnie. Właściwie bardziej we mnie niż na mnie.

– Evie – powiedział. – Zaslługujesz na to. Oboje na to zasługujemy.

I znów go kochałam. Po prostu. W tym momencie wręcz go uwielbiałam. Chwyciliśmy się za ręce, a on się rozplakał. Zaraz potem musiałam uwolnić się z uścisku, żeby naprawdę zwymiotować, ale oboje skwitowaliśmy to śmiechem. Potem wytarł mi twarz ścierką, a ja mu na to pozwoliłam.

Tysiące momentów. Setki wspomnień.

Znów ukłucie bólu, gdzieś głęboko. Opieram się o ścianę z dala od poręczy, której już nie ufam, i wspinam się wąskimi schodami na górę.

Znów ta woń.

Smród staje się coraz silniejszy. Nie ma w nim żadnej

subtelności, drażni mi nozdrza. To jest to. Czy od początku to przeczuwałam? Od skrętu w podjazd? Od wjazdu do garażu? Drzwi są otwarte, otwarte, otwarte.

Co podpowiadała moja podświadomość, nim jeszcze w pełni dotarło to do świadomości?

Na piętrze, nie w sypialni, tylko w drugim pokoju używanym przez Conrada jako gabinet, drzwi też są otwarte.

Woni towarzyszą dźwięki. Wycie syren. Dochodzące gdzieś z zewnątrz. Coraz głośniejsze. Coraz bliższe. Ależ oczywiście.

Kuchnia moich rodziców.

Gabinet mojego męża.

Krew.

Ciemna i lepka. Rozbryzg. Kałuża.

Nic na to nie poradzę. Mam szesnaście lat. Mam trzydzieści dwa lata. Wyciągam rękę. Dotykam miejsca najbliższej mnie. Rozmazuję czerwień na końcach palców. Patrę, jak znikają w niej linie papilarne mych odcisków.

Mój ojciec. Mój mąż.

Krew.

Hałas się wzmacnia. Walenie do drzwi. Tak odległe. Wrzaski, żądania, rozkazy.

Ale tu nic z tego się nie liczy. Tu jestem tylko ja i ostatnia chwila z Conradem. Jego ciało rozciągnięte na fotelu przy biurku, drobiny tkanki mózgowej rozbryźnięte na ścianie za jego głową.

Boję się tego, co zobaczę na ekranie jego komputera, ale i tak się zmuszam i patrzę. Przez chwilę się wpatruję, rejestruję ten obraz. To jego komputer. Na to patrzył mój mąż na chwilę przed śmiercią.

Jeszcze bardziej natarczywe walenie. To policja. Zjawili się, bo ktoś ich zawiadomił o strzelaninie. Nie można ich nie wpuścić.

To był wypadek, słyszę w uchu gorączkowy szept matki. To

tylko nieszczęśliwy wypadek.

Sięgam do komputera i zamykam obraz na ekranie. Ale wiem z doświadczenia, że to nie wystarczy, więc wyjmuję pistolet z martwych dłoni męża, ujmuję radełkowaną rękojeść i wsuwam palec w chłodną osłonę spustu.

A potem zaczynam strzelać.

GDY POLICJA W KOŃCU wyważa drzwi, stoję u szczytu schodów z rękami uniesionymi nad głową i pistoletem w dłoni, zwrócona lekko bokiem, tak by nie można było nie zauważyć wypukłości mojego brzucha.

– Rzuć broń, rzuć broń, rzuć broń! – krzyczy policjant stojący najbliżej schodów.

Spełniam polecenie.

Wbiega na schody z kajdankami w ręce. Mam nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy oprzeć się o poręcz.

Małżeństwo to mozaika. Tysiące momentów. Setki wspomnień.

Policjant wykręca mi ręce na plecy, skuwa kajdankami w nadgarstkach i oklepuje mnie, jakby się spodziewał, że mam gdzieś ukrytą dodatkową broń. Przez wyważone drzwi wpada do środka więcej policji.

– Mój mąż – słyszę własny głos. – Nie żyje. Zastrzelony.

– Czy w domu jest ktoś jeszcze, proszę pani?

– Nie.

Tysiąc momentów. Sto wspomnień.

– Ma pani prawo zachować milczenie. Wszystko, co pani powie, może zostać użyte przeciwko pani w sądzie. Ma pani prawo do kontaktu z adwokatem oraz do obecności adwokata w czasie przesłuchania.

Policjant sprowadza mnie po schodach i wychodzimy z domu, z dala od zwłok mojego męża.

– Myśli pan, że pozwolą mi urządzić mu pogrzeb? – pytam.
Obrzuca mnie dziwnym spojrzeniem i wpycha do radiowozu na twarde plastikowe siedzenie z tyłu.

Jeszcze więcej glin. Jeszcze więcej wycia syren. Z domów wyglądają sąsiedzi, ciekawi, co tu się dzieje. Wiem, co teraz będzie. Zawiozą mnie do komisariatu. Tam zdejmą mi z rąk ślady krwi i prochu strzelniczego, pobiorą odciski palców, zajmą się mną.

A potem zajrzą do komputera i poznają moją przeszłość...

To wypadek, szepcze mi w głowie matka. To tylko nieszczęśliwy wypadek.

Nie mogę się opanować i zaczynam dygotać.

Mama się mną zajmie. I ta myśl, na równi ze wszystkim innym, powoduje, że kładę dłonie na wypukłości brzucha i mówię mojemu dziecku – temu kruchemu ulotnemu życiu, które nawet nie dostało swojej szansy – jak bardzo jest mi przykro.

Rozdział 2

D.D.

– DOBRA, DZIAŁAMY JAK ZAWSZE. Ja idę prosto, Alex zachodzi od lewej. Jack, jesteś gotów?

Jack skinął głową. Detektyw sierżant D.D. Warren wypuściła powietrze, żeby uspokoić oddech. Ich troje, ona jedna. Cóż może pójść nie tak?

Pierwszy krok do przodu z ostrożnym przeniesieniem ciężaru z pięty na palce, by nie robić hałasu. Alex stosuje tę samą technikę i przesuwają się w bok, by odciąć drogę ucieczki. Robili to już wiele razy i wiedzą, że kluczem do sukcesu jest zachowanie ciszy. Zaalarmuj cel za wcześnie i masz przerąbane. Zwłaszcza że D.D. miała wrażenie, że cel jest szybszy i sprytniejszy od nich trojga razem wziętych.

To mocno komplikowało sprawę, jako że stawką w grze był ulubiony czarny skórzany botek D.D.

Wemknęła się do jadalni, gdzie Kika ze swą zdobyczą czujnie ukryła się pod stołem. Najwspanialsza łaciata suczka w kraju leżała wygodnie rozciągnięta, ogryzając obcas botka D.D. i nie przejmując się manewrem oskrzydającym w wykonaniu swojej pani i Alexa.

Pięcioletni Jack zajął pozycję w drzwiach pokoju z zadaniem złapania Kiki, gdy ta zostanie ostatecznie wypłoszona spod stołu z wiśniowego drewna. D.D. sądziła, że pies, mając

do wyboru dwoje dorosłych mieszkańców domu i Jacka, wybierze drogę ucieczki w stronę swego współnika w licznych przestępstwach...

Deska w podłodze skrzywnęła pod ciężarem nogi i D.D. zamarła. Kika podniosła łeb.

Czas stanął w miejscu. Policjantka i pies spojrzeli sobie w oczy, D.D. w jednym botku na nodze, Kika z drugim w łapkach.

Alex zaszedł psa od lewej strony.

– Kika! Zostaw to! Niedobry pies!

Suczka chwyciła but w zęby i rzuciła się do ucieczki.

D.D. skoczyła w prawo. Był to z jej strony akt rozpaczony i obie zdawały sobie z tego sprawę. Kika, mieszaniec dalmatyńczyka i krótkowłosego niemieckiego pointera, złożony głównie z długich nóg i niewyczerpanych zapasów energii, bez trudu wymknęła się z zasadzki. Alex skoczył za nią.

Pies bez chwili namysłu pognał w stronę Jacka, który z dziecięcym entuzjazmem wykrzyknął: „Ruuu, ruuu, ruuu!” i podrzucił w powietrze ulubioną zabawkę Kiki.

Zgodnie z psią naturą, Kika natychmiast wypuściła z pyska but i rzuciła się na swego wypchanego hipopotama.

D.D. podniosła botek, a pies wgryzł się w swoją zabawkę, po czym w przypływie nieokiełznanej szczenięczo-chłopięcej energii zaczęli z Jackiem gonić się po pokoju.

– Coś uszkodziła? – spytał Alex, stając obok żony. Wciąż jeszcze próbował złapać oddech. D.D. zresztą też.

Przyjrzała się botkowi. Na obcasie zostały ślady zębów, ale skórzana cholewka była nietknięta.

– Powinnaś chować je do szafy – powiedział Alex, przypatrując się śladom.

– Tak, wiem.

– Wyrośnie z tego, ale nie tak zaraz.

– Wiem.

– Jak myślisz, czyje szkolenie potrwa dłużej: jej, twoje czy

moje? – spytał.

D.D. warknęła na męża, a on się uśmiechnął.

– Ruuu, ruuu, ruuu! – zakrzyknął Jack z drugiego końca pokoju. Zdążył wgramolić się na kanapę i zaczął podskakiwać na poduszkach. Kika przysiadła na podłodze i z uwagą go obserwowała. To Alex i Jack wymyślili, że wezmą szczeniaka z miejscowego schroniska. D.D., detektyw sierżant z wydziału zabójstw bostońskiej policji, próbowała ich przekonywać, że za rzadko bywają w domu, na co Alex brutalnie szczerze odpowiadał, że to ona jest za rzadko w domu. Jako wykładowca w akademii policyjnej, prowadzący zajęcia z badania miejsc przestępstw, pracował w określonych porach, godziny zajęć przedszkolaka Jacka też nie należały do uciążliwych. A chłopiec powinien mieć psa, dodawał.

Co na podstawie dotychczasowych doświadczeń chyba się sprawdzało. Bóg świadkiem, że Jack i Kika stali się nierozłączni. Roczna suczka w czarno-białe łaty spała z nim w jego łóżku, siedziała mu przy nogach przy kuchennym stole i robiła wszystko to co on, od skakania po meblach po uganianie się po podwórku.

Syn D.D. był szczęśliwy, jej mąż też był szczęśliwy, a w końcu pogryziony obcas botka był niewielką ceną, jaką za to musiała zapłacić. Jakby na potwierdzenie tych myśli Kika i Jack zaczęli radośnie biegać wokół pokoju.

- Muszę jechać do pracy – powiedziała.
- Weź mnie ze sobą – bąknął Alex.
- Miałabym cię pozbawić tego magicznego momentu?
- A jak ładnie poproszę?
- Nic z tego. – D.D. już wciągała na nogę pogryziony but.
- Wczoraj w nocy żona zastrzeliła męża. Została aresztowana, ale chcę obejrzeć miejsce przestępstwa. A ty nie byłbyś obiektywny.

– Kobieta została aresztowana, a ty nadal musisz oglądać

miejsce przestępstwa? – zdziwił się Alex. W związku z obrażeniami odniesionymi przed dwoma laty w trakcie pełnienia obowiązków służbowych D.D. została przeniesiona na stanowisko kierowniczo-administracyjne w wydziale zabójstw. Jak koledzy detektywi mogli zaświadczyć, a Alex potwierdzić, D.D. podchodziła do swych obowiązków z dużo większym zaangażowaniem, niż to było konieczne.

– Jestem tą sprawą osobiście zainteresowana – mruknęła, ruszając do drzwi. Otworzyła je i potoczyła wzrokiem po srebrzyście zmrożonej ziemi. Zawróciła i sięgnęła po czarny wełniany płaszcz. Jeszcze miesiąc temu powietrze było rześkie, ale słońce nadal zdrowo przygrzewało. A teraz nagle to. Witajcie w Nowej Anglii.

D.D. obrzuciła spojrzeniem dwie śmigające po mieszkaniu smugi, syna i psa, i mimo robionego przez nich bałaganu – nie, z powodu tego bałaganu – poczuła narastające w piersi ciepło.

– Oni naprawdę się kochają – szepnęła.

– Boże, zmiłuj się nad nami – jęknął Alex. Stał tuż obok niej. Właśnie spędzili pełne cztery dni bez chodzenia do pracy, co było rzadkim świętem w ich życiu. I jak zawsze po takich wolnych dniach czuli na sobie ciężar obowiązków zawodowych D.D. Alex z szacunkiem traktował pracoholizm żony, ale zdarzało się, że nawet ona wzdragała się przed wejściem do kolejnej króliczej nory, jaką było każde śledztwo w sprawie śmierci. Zwłaszcza ostatnio.

– Co jest w tej sprawie osobistego? – spytał Alex.

D.D. zapięła guziki płaszcza.

– Już kiedyś prowadziłam śledztwo w sprawie o zabójstwo, w którym występowała ta sama osoba, niejaka Evelyn Carter, z domu Hopkins.

– Poprzedniego męża też zabiła?

– Nie. Rzekomo „niechcący” zastrzeliła ojca. Ale ile śmiertelnych postrzałów może obciążać jedną kobietę?

Alex ze zrozumieniem pokiwał głową.

– I tym razem ją dopadniesz?

D.D. uśmiechnęła się, objęła męża i cmoknęła go w policzek, po czym pomachała na pożegnanie swojemu zwariowanemu synowi i jego psu.

– Absolutnie.

EVELYN CARTER I JEJ mąż Conrad mieszkali w Winthrop, jednym z najmniejszych i najstarszych miasteczek w stanie Massachusetts. Dzięki historii sięgającej roku 1630, położeniu na półwyspie i niewielkiej odległości od lotniska Logana, miejscowość oferowała szczęśliwcom widok na Atlantykę, a wszystkim pozostałym poczucie stłoczenia w gęstej zabudowie i ludzkiej masie. Dom Carterów sąsiedował z rzędami podobnych budynków w stylu kolonialnym z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, które zapewne kiedyś miały charakter osiedla robotniczego, straciły go jednak w związku z cenami nieruchomości w rejonie Bostonu, zwłaszcza tak blisko oceanu. Widok tyłu domów, które zachowały swój pierwotny wygląd, był dla D.D. zaskoczeniem. Dziś miało się wrażenie, że każdy dom w Bostonie jest poddawany radykalnej renowacji, deweloperzy wyburzają starą zabudowę i zastępują ją większymi i elegantszymi willami. D.D. wołała starsze domy z charakterem, ale przy jej zarobkach w policji i tak nie miała szans na zamieszkanie w tej okolicy.

Phil, jej dawny partner z patrolu i mentor w pracy policyjnej, zadzwonił z samego rana, by powiadomić ją o strzelaninie. Jego zdaniem sprawa wyglądała całkiem klarownie. Policję wezwali na miejsce sąsiedzi, którzy usłyszeli odgłos strzałów. Patrol mundurowych znalazł żonę ofiary na szczycie schodów z pistoletem w ręce. Bez oporu dała się zatrzymać i została zawieziona do zakładu karnego w South Bay.

Kobieta jest w ciąży, dorzucił Phil. Na tyle zaawansowanej, że daje się to zauważyć, ale do rozwiązania zostało jeszcze trochę czasu.

D.D. nie bardzo mogła to sobie wyobrazić. Evie Hopkins, z którą kiedyś się zetknęła, była wówczas szesnastolatką z rzadkimi jasnymi włosami o szarym odcieniu i wielkimi jak u łani brązowymi oczami. Siedziała przy kuchennym stole metr od zakrwawionych zwłok ojca i spazmatycznie dygotała.

Nie płakała, co D.D. – wówczas świeżo upieczonej śledczej z wydziału zabójstw – wydało się dziwne, ale w twarzy dziewczyny było otępienie, które w połączeniu z dygotem wyglądało przekonująco i świadczyło o przeżytych szoku. Było to coś w rodzaju opóźnionej reakcji na cios i D.D. uwierzyła, że dziewczyna naprawdę cierpi, a jej ból jest tak ogromny, że sobie z nim nie radzi.

Nie mogli jej wyciągnąć z kuchni, by ją przewieźć do komisariatu na przesłuchanie. W tym momencie nie wydawało się to tak ważne, bo Evie – mocno zakrwawiona – niczemu nie przeczyła. Tak, strzelba w jej rękę wystrzeliła. Tak, zabiła ojca.

A teraz nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Nie była w stanie zrobić kroku. Mimo starań i prób podniesienia jej z miejsca D.D. i jej partner, leciwy śledczy Gary Speirs, nie mogli sobie z nią poradzić. Speirs podjął wtedy decyzję, że nie zastosują przemocy fizycznej, w obawie że doprowadziłoby to dziewczynę do ataku hysterii i uniemożliwiło jej przesłuchanie.

W rezultacie tkwili wszyscy metr od ciała ofiary, zakrwawionych szafek i pomazanej krwią lodówki.

Matka wycofała się do pokoju, a właściwie autentycznej bawialni, której widok niemal zahipnotyzował D.D. Słyszała o istnieniu takich pomieszczeń, ale teraz widziała je na własne oczy. Jak przystało na rodzinę profesora z Harvardu, Hopkinsowie mieszkali w Cambridge, w eleganckiej rezydencji w stylu kolonialnym. Dom był wymuskany i wszystko leżało na

swoim miejscu. Oczywiście nie licząc krwawej sceny w kuchni.

Czy to wpłynęło na nastawienie D.D. do całej sprawy? Ta rezydencja ludzi z wyższych sfer? Ta perfekcyjnie zadbana matka? Ta zdruzgotana i roztrzęsiona szesnastolatka?

Przesłuchana w bawialni matka potwierdziła słowo w słowo wersję podaną przez córkę. Strzelba była niedawnym nabytkiem, a do jej kupna skłoniła ich seria włamań do domów w sąsiedztwie. Ojciec ją wyjął, by zademonstrować córce, a ta wzięła broń do ręki i spróbowała opróżnić komorę naboju. Strzelba wypaliła i pocisk trafił w klatkę piersiową ojca z odległości kilkunastu centymetrów. Ot, tragiczny wypadek. Późniejsze śledztwo nie wykazało żadnych dowodów na istnienie zadawnionych waśni między ojcem a córką. Wręcz przeciwnie, wszyscy opisywali Hopkinsów jako bardzo zgodną rodzinę i uważali ich za dobrych sąsiadów. Córka była utalentowaną pianistką, żona udzielała się w działalności oświatowej i organizacji pomocy dla dręczonych kobiet. Sprawa zaliczała się do tych nielicznych w karierze policyjnej D.D., wobec których nie miała żadnych wątpliwości.

I teraz to.

Dom był odgradzony od przodu żółtą taśmą policyjną, na ulicy zostało kilka wolnych miejsc parkingowych, zapewne po śledczych, którzy pracowali tu niemal całą noc i dopiero niedawno rozjechali się do domów. Na miejscu zostały już tylko dwa samochody służbowe.

W sumie wszędzie panował spokój. Nie było widać wścibskich sąsiadów, wokół domu nie kręcili się kryminaliści, na ulicy nie było policji. Jak twierdził Phil, sprawa wydawała się jasna. Mąż został zastrzelony, żonę zabrano do aresztu.

D.D. wysiadła z samochodu i podeszła do wejścia; zobaczyła poharatane drzwi z przekrzywionym świątecznym wieńcem. Policjanci musieli je wyłamać. Ciekawe.

Weszła do środka. Jak większość domów stawianych

pośpiesznie dla zapewnienia dachu nad głową powojennemu wyzowi demograficznemu, ten miał prosty standardowy rozkład pomieszczeń. Wąskie schody wspinały się po lewej ścianie na piętro, po prawej znajdowało się wejście do pokoju dziennego z oknami wychodzącymi na ulicę; wąski korytarzyk na wprost prowadził do kuchni połączonej z jadalnią. Po prawej były drzwi do łazienki, w kuchni po lewej znajdowały się drzwi do przedpokoju, którym przechodziło się do garażu.

Kuchnia wyglądała na niedawno odnowioną. Nowe szare szafki, szare nakrapiane blaty, urządzenia kuchenne ze stali nierdzewnej. Hol z odłączoną poźółkłą tapetą i mocno sfatygowaną podłogą dopiero czekał na odnowienie.

Dość zaniedbany dom ludzi na dorobku, którzy stopniowo go modernizowali, łącznie z dodaniem nowoczesnej otwartej przestrzeni kuchennej-jadalnej. Czyżby Carterowie sami go odnawiali?

Czy zaczęli już szykować pokój dla dziecka?

D.D. nagle sobie uświadomiła, że trzyma rękę na brzuchu, i szybko ją opuściła. Ostatnio często wspominała swoją ciążę z Jackiem. Dzieckiem, którego wcale nie planowała. A teraz był jej największym cudem i przedmiotem najgorętszej miłości. Zwykle...

– A, tu jesteś.

Odwróciła głowę i zobaczyła detektyw Carol Manley, która stanęła w drzwiach do przedpokoju. Ta filigranowa kobieta o wzroście niewiele przekraczającym metr pięćdziesiąt i wadze czterdziestu pięciu kilogramów weszła na jej miejsce do ekipy śledczej po tym, jak odniesiony uraz odesłał D.D. na zwolnienie lekarskie. Manley była doskonałą policjantką i zarówno Phil, jak i Neil bez trudu ją zaakceptowali jako nowego członka ich trzyosobowego zespołu. W przeciwieństwie do nich D.D. wciąż nie potrafiła nabrać zaufania do policjantki o imieniu Carol.

Kompletnie bez sensu, ale tak to wyglądało.

Oczywiście nie dawała nic po sobie poznać, pamiętając, że jej obecna rola wymaga pozostawania w dobrych stosunkach ze wszystkimi podwładnymi. Ta część nowych obowiązków sprawiała jej najwięcej kłopotów, ale trudno.

– Na górze znaleziono ciało – powiedziała Carol. – Wygląda na to, że żona zastrzeliła męża siedzącego przy biurku. Potem strzeliła też do jego laptopa.

– Znamy motyw? – D.D. ruszyła za nią w stronę schodów.

– Żona milczy. Phil mówi, że ją znałaś.

– Prowadziłam śledztwo w sprawie innego śmiertelnego postrzelenia przed szesnastu laty. Uznano je za nieszczęśliwy wypadek. Choć teraz zaczynam mieć wątpliwości.

– Uważaj na poręcz – ostrzegła Carol, wkraczając na schody. – Jest dość chwiejna. Pewnie nie zdążyli jej jeszcze naprawić.

D.D. poruszyła drewnianą barierką. Tak, jej stabilność pozostawiała dużo do życzenia.

– Narzędziem zbrodni nie była chyba strzelba? – upewniła się.

– Nie, sig sauer P dwieście dwadzieścia sześć, zarejestrowany na ofiarę, Conrada Cartera. Wygląda na to, że trzymał broń w szufladce stolika nocnego.

– Skąd każdy mógł ją wyjąć.

– A amunicja do niego była w pudełku po butach na dnie szafy.

– Bo to daje ludziom poczucie bezpieczeństwa. Kocham takich wielce przebiegłych właścicieli broni.

– Tylko że bez nich nie mielibyśmy nic do roboty.

Z tym D.D. musiała się zgodzić. Dotarły na piętro i stanęły na małym podeście u szczytu schodów. Było tu troje drzwi: do dwóch sypialni i zapewne do łazienki. Ale D.D. nie musiała się zastanawiać, które z nich wybrać. Przewodnikiem był węch.

Conrad przerobił mniejszą sypialnię na swój gabinet. Stał w nim wielki dyrektorski fotel z czarnej skóry, z oparciem z ciemnymi plamami krwi. Pod ścianami ciągnęły się sięgające pasa szafki na dokumenty, których blaty były zarzucone stertami papierów i czegoś w rodzaju katalogów. Na środku pokoju stało wielkie dębowe biurko, teraz tak podziurawione pociskami i zaśmiecone metalowymi odłamkami, że mogło aspirować do tytułu weterana wojennego.

Małe pomieszczenie, wielka rzeź, pomyślała D.D. Widać żonka nie marnowała czasu.

– To resztki po laptopie? – spytała, wskazując metalowe odłamki na blacie biurka.

– Aha. Zabrali go technicy. Żona opróżniła w niego cały magazynek. Cel nie był zbyt duży, bo zamknęła wieko, więc wiedziała, co robi.

– Co mówią technicy?

– Potrzebują czasu na demontaż laptopa i analizę uszkodzeń. W środku jest mnóstwo różnych części: bateria, pamięć RAM, płyta główna, karta wi-fi, twardy dysk i tak dalej, i tak dalej. Jest tego bardzo dużo i teoretycznie coś mogło się uchować. Niestety, tuzin strzałów w tak mały cel...

D.D. uniosła brew.

– A ile pocisków w ciele ofiary? – spytała.

– Trzy.

W magazynku siga P226 mieściło się piętnaście naboii.

– Trzy w męża i dwanaście w komputer? Jeśli uznamy laptopa za drugą ofiarę, to wychodzi na to, że nienawidziła go bardziej od męża.

– Lub miała coś do ukrycia.

– I postanowiła usunąć to z pamięci. – D.D. pokiwała głową. – Wiemy, czy to był osobisty laptop męża, czy oboje z niego korzystali?

– Nie mam pojęcia.

– I nic nie powiedziała policji? Czegoś w rodzaju: „Musiałam to zrobić”. „To on zaczął”. „Słyszałam głosy w głowie”... Cokolwiek?

– Spytała, czy będzie mogła urządzić mu pogrzeb.

D.D. pokręciła głową.

– A jak się zachowywała? Policjant z patrolu opisał ją jako osobę w szoku? Zrozpaczoną? A może odprężoną?

– Jako spokojną i skłoną do współpracy. Bez oporu dała się skuć i odprowadzić do radiowozu. Zawieźli ją do komisariatu i postawili zarzuty bez żadnych utrudnień.

D.D. zmarszczyła czoło. Nadal nie wiedziała, co o tym myśleć. Przyjrzała się plamom krwi na fotelu i rozbryzgom na ścianie.

– Czym zajmował się mąż? – spytała.

– Handlem. Pracował w firmie produkującej okna. – Carol wskazała sterty katalogów na szafkach. – Według zeznań sąsiadów, dużo czasu spędzał na jeźdźeniu po kraju i zbieraniu zamówień. Ale jak nie był w drodze, to przesiadywał w tym gabinecie.

– Co jest w tych szafkach?

– Phil przejrzał ich zawartość. Wygląda, że głównie teczki klientów. Nic oryginalnego.

D.D. skinęła głową, potoczyła wzrokiem po śladach strzelaniny i pomyślała, że jednak trzeba było zabrać ze sobą Alexa. Tak właśnie się poznali. Znaleźli się razem na miejscu wyjątkowo brutalnego morderstwa rodziny. Jak to świadczy o jej życiu, jeśli oględziny miejsca przestępstwa kojarzą jej się z mężem?

– A Evie? – spytała. – Gdzie ona pracuje?

– Evelyn? Uczy matematyki w miejscowym liceum.

To wywołało uśmiech na twarzy D.D.

– Jej ojciec był profesorem na Harvardzie. Kimś w rodzaju matematycznego geniusza, który uczył takich rzeczy, że od

samych nazw bolały mnie zęby.

– Ona jest w ciąży. W piątym miesiącu.

– Byli zaprzyjaźnieni z sąsiadami? Natrafiłaś na jakieś brudy?

– Ludzie z sąsiedztwa nie mieli nic złego do powiedzenia.

– Carol wzruszyła ramionami. – Para kupiła dom cztery lata temu. Zajmowali się drobnymi remontami, na ile czas im pozwolił. Głównie latem. Evelyn lubiła pracować na powietrzu. Machała na powitanie przechodzącym sąsiadom, ale nie należała do specjalnie towarzyskich. Najczęściej określają ją jako cichą i spokojną. To Conrad był towarzyską połówką ich małżeństwa. Dużo chętniej zatrzymywał się i wdawał w pogawędki. Mimo to mundurowi nie znaleźli nikogo, kto gościłby u nich na kolacji, grillu, drinku czy czymś takim. Ale wygląda na to, że sąsiedzi nie mieli im tego za złe. Powszechnie uważano Carterów za młode małżeństwo na dorobku.

– Czyli sprawiali wrażenie szczęśliwej pary, tak?

– W każdym razie nikt nie wspomniał o niepokojach czy awanturach w domu.

– A w chwili aresztowania nie zauważono na ciele Evelyn żadnych śladów przemocy?

– Żadnych.

– Czyli możemy wykluczyć zabójstwo w samoobronie.

– Ale nie syndrom ofiary przemocy – powiedziała z naciskiem Carol. – Niektórzy faceci umieją tak bić, żeby nie było nic widać, a jeśli to się powtarzało...

– Nigdy nie wiadomo, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami. – D.D. pokiwała głową i przypomniała sobie scenę w tamtej eleganckiej rezydencji w Cambridge z wymuskaną bawialnią. Czy jako nieopierzona detektyw widziała wtedy tylko to, co było przeznaczone dla obcych oczu?

Wskazała ręką zakrwawioną ścianę.

– Powiedz mi coś o ofierze. Trzy pociski?

– Dwa w klatkę piersiową, jeden w głowę. Stupiętnastogramowe ładunki w pełnym metalowym płaszczu. Pociski skierowane w klatkę piersiową utknęły gdzieś w środku, prawdopodobnie odbiły się od żeber. Pocisk w głowę przeleciał na wylot.

Co tłumaczyłoby rozbryzgi na ścianie i wiszący w powietrzu fetor.

– Strzały z bliskiej odległości?

– Nadal pracujemy nad trajektoriami, ale tak, ślady oparzeń ran wlotowych sugerują odległość nieprzekraczającą dwóch metrów.

D.D. rozglądała się po pokoju, obliczając w myślach odległość od drzwi do fotela za biurkiem.

– Fotel musiał stać przodem do wejścia, tak? – spytała.

– Tak.

– Żadnych obrażeń na rękach, które wskazywałyby na wcześniejszą sprzeczkę?

– Żadnych.

– Evelyn zabiera pistolet z sypialni i ładuje go amunicją z szafy – zaczęła głośno myśleć D.D.

– Znaleźliśmy na łóżku otwarte pudełko po butach, z amunicją, obok też leżało kilka pocisków.

– Przechodzi do gabinetu męża, być może go woła.

– A on się odwraca na dźwięk jej głosu – uzupełniła Carol.

– Wchodzi do gabinetu i otwiera ogień. Szybko i bez namysłu. Musiało być szybko, skoro nawet nie zasłonił się ręką. Tylko „Cześć, kochanie” i trach, trach, trach.

– Albo „Ty sukinsynu” i trach, trach, trach.

– Coś w tym rodzaju. – D.D. skinęła głową. – Trzy strzały. Wystarczająco dużo, by mieć pewność, że cel został osiągnięty, ale nie aż tyle, by wskazywało to na zbrodnię w afekcie. W afekcie rozprawiła się z laptopem. – Zmarszczyła czoło. – Bardzo chciałabym wiedzieć, co takiego było w tym

komputerze.

– A co może skłonić żonę do zamordowania męża? – Carol wzruszyła ramionami. – Pornosy? Maile od kochanki? Nałogowy hazard w sieci? Jest dużo rzeczy, które mogą pchnąć kobietę do rozprawy z mężem i jego laptopem. A on może tylko nałogowo grał w gry wideo. Albo ona dała się ponieść ciężowym hormonom.

D.D. zmierzyła ją wzrokiem; Carol nie miała dzieci.

– Gdyby hormony ciężowe mogły prowadzić do zabójstwa, to żaden mąż nie uszedłby z życiem. A poza tym sama powiedziałaś: ona wiedziała, co robi podczas strzelaniny, po czym okazała spokój i chęć do współpracy. Tak nie zachowuje się kobieta w ataku szału. Tu musi chodzić o coś innego. O coś więcej.

– Jak wyglądała te szesnaście lat temu? – spytała Carol.

– Była młoda i załamana. Dziwię się, że po tamtej tragedii zgodziła się trzymać w domu broń. Prędzej bym oczekiwała, że będzie unikała broni palnej jak ognia. A jednak... – D.D. spojrzała na koleżankę. – Dwa strzały w klatkę piersiową, jeden w głowę i dwanaście w laptopa. Wprawdzie z bliska, ale i tak aż tyle celnych strzałów...

– Wygląda na to, że miała za sobą jakieś przeszkolenie.

– Carol pokiwała głową. – Może to coś z gatunku: „Zmier się ze swoim strachem”? Może po postrzeleniu ojca chciała mieć pewność, że już nigdy nie przytrafi jej się taki „wypadek”. Poszła na kurs, zapisała się do kółka strzeleckiego.

– Na pewno warto to zbadać. Sprawdzili jej ręce na ślady prochu strzelniczego?

– Oczywiście. Wynik pozytywny. Nie mówiąc o drobinach krwi na ubraniu i jeszcze więcej na rękach.

– Zrobiła to – orzekła D.D. – Evelyn Carter zastrzeliła męża.

– Wszystko na to wskazuje. Policja przyjechała na

zgłoszenie o strzelaninie. Znaleźli ją na szczycie schodów z sig sauerem w ręce. Nawet nie próbowała zaprzeczać.

– Wyłamali drzwi wejściowe. Dlaczego?

– Bo usłyszeli więcej strzałów.

– Ale sąsiedzi wezwali ich na odgłos strzałów, tak? Jak szybko przyjechał patrol?

– Po ośmiu minutach.

D.D. przechyliła głowę.

– Chcesz powiedzieć, że te piętnaście pocisków wystrzelono w ciągu ośmiu minut? – powiedziała, wlepiając wzrok w młodszą koleżankę.

– Wciąż jeszcze ustalamy fakty. – Carol wzruszyła ramionami. – Ale według mnie pierwsza seria strzałów była wymierzona w męża, drugą serią, już po przyjeździe policji, Evelyn rozstrzelała komputer.

– Z ośmiominutową przerwą między jedną a drugą. Podczas której... co robiła?

– Kto to może wiedzieć? Może kasowała pliki w komputerze, bo chciała coś ukryć. A potem usłyszała syreny, zdała sobie sprawę, że policja jest już blisko, i zdecydowała się na bardziej radykalne rozwiązanie.

To możliwe, pomyślała D.D., ale to jedynie domysły.

– Chciała coś ukryć? – mruknęła pod nosem, bardziej do siebie niż do Carol. – A może coś kopiowała?

– Jak to?

– Najwyraźniej w laptopie było coś ważnego. Więc czy chciała to tylko zniszczyć, czy zrobić też zapasową kopię. Na przykład zapisać adres mailowy kochanki męża. Nie wiem, ale osiem minut... Zamknięcie plików i wyłączenie komputera nie trwa tak długo. Ale zrobienie kopii zapasowej wybranych danych może tyle potrwać.

Carol wolno pokiwała głową.

– Dobra, sprawdzę to. Jeśli coś skopiowała, to musiałyby

użyć pendrive'a. A podczas osobistej rewizji w South Bay niczego takiego nie znaleziono. Mogła jednak schować go gdzieś w domu. Rozejrzę się.

– Powinnaś wiedzieć coś jeszcze. Jej ojciec, profesor z Harvardu, był znany z fotograficznej pamięci. Przyczyniła się w dużym stopniu do jego sukcesów naukowych. Wystarczyło, że raz na coś spojrział, i obraz na zawsze pozostawał mu w pamięci.

– Chcesz powiedzieć, że Evelyn...?

– Może nie musiała niczego kopiować. Może wystarczyło, że spojrzała.

– No ślicznie – mruknęła Carol.

– To nie ma większego znaczenia – rzuciła z uśmiechem D.D. – Jak sama powiedziałaś, i tak wszystko na nią wskazuje.

Carol znów mruknęła coś pod nosem i tym razem nie zabrzmiało to ślicznie.

D.D. zostawiła koleżankę, by ta jeszcze się rozejrzała na miejscu przestępstwa, wyszła z domu i dojrzała sylwetkę kobiety w luźnej kurtce, stojącej na chodniku po drugiej stronie ulicy. Wiotkiej blondynki z szarymi oczami.

Flora Dane. Niegdyś ofiara uprowadzenia, obecnie opiekunka społeczna i doradczyni uratowanych ofiar porywaczy. A także ostatnio zwerbowana tajna informatorka D.D. Miesiąc wcześniej wspólnie prowadziły poszukiwania szesnastoletniej dziewczyny zaginionej po zbiorowym zabójstwie, w którym zginęła cała jej rodzina. Jeśli termin „wspólne prowadzenie” dobrze oddawał ich wzajemne relacje.

D.D. zmarszczyła czoło i wlepiała w nią spojrzenie.

– Co jest?! – zawołała. Wiedziała z doświadczenia, że pojawienie się Flory zwykle oznacza kłopoty.

Flora nie podeszła. Przeszła z nogi na nogę i wzruszyła ramionami. Gdyby D.D. dobrze jej nie znała, mogłaby odnieść wrażenie, że młoda kobieta jest podenerwowana.

D.D. jeszcze chwilę odczekała, po czym przeszła na drugą stronę ulicy. Flora stała ze wzrokiem wbitym w dom Carterów z taką intensywnością, jakby chciała prześwietlić go na wylot. Dziewczyna miała wiele talentów, takich jak otwieranie cudzych zamków i inicjowanie chemicznych pożarów, ale D.D. nie sądziła, by do jej umiejętności należało też prześwietlanie murów.

– Co jest? – powtórzyła.
– Widziałam jego twarz w wiadomościach.
– Ofiary? Conrada Cartera?
– Zastrzeliła go żona?
– Na to wygląda. A co? Znasz Evie? – Flora kierowała grupą pomocy dla ofiar przemocy domowej. Może po zabiciu ojca Evelyn za taką właśnie się uważała. Wszystko możliwe.

– Nie, nie ją. Jego. Rozpoznałam go.

D.D. już nie miała wątpliwości, że jej wiecznie spięta informatorka jest naprawdę zdenerwowana.

– Spotkałam go – dodała Flora. – W barze. Kiedy byłam tam z Jacobem.

Jacob Ness uprowadził ją i gwałcił, trzymając dziewczynę w niewoli przez następne czterysta siedemdziesiąt dwa dni, po czym sześć lat temu zginął w wyniku akcji FBI, która przyniosła jej wolność.

D.D. znów ogarnęło to poczucie: że wie tylko tyle, że nic nie wie. I że Evie Carter znów wpędzi ją w kłopoty.

– Flora...

– Jacob go znał – szepnęła informatorka i wlepiła w nią szare oczy. – Conrad Carter. Jacob Ness. Myślę... jestem prawie pewna, że byli zaprzyjaźnieni.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w **formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).